

DR. H. M I R S K I

Z A M A C H

Aleksandra PRYSTORA
NA POLICMAJSTRA
WARSZAWY



WYDAWNICTWO „UNIVERSUM”

Warszawa, Skrz. poczt. 11. P. K. O. 372



Niezwyczajna noc we wzięciu przy ul. Daniłowiczowskiej

Było to podczas znanego strajku powszechnego w styczniu roku 1905. Ulice Warszawy przepelnione były tłumami, żywo rozprawiającymi o tem niezwykłym wydarzeniu. Dyskusje i spory przerywał coraz to inny patrol policyjny głosem „Razojdis”.

Władze czyniły wszystko, co leżało w ich mocy, by uniemożliwić przeciąganie się strajku. Policja zmobilizowała wszystkich dozorców warszawskich i zmusiła ich do ustawicznego szpiegowania robotników. Było obowiązkiem dozorców czuwać w bramach nie tylko w nocy, lecz także przez cały dzień. Władze czyniły ich odpowiedzialnymi nawet za to co się działo w mieszkaniach poszczególnych lokatorów. Każdy przybysz musiał się legitymować przed dozorcą domu i powiedzieć, do kogo idzie i po co. Zbiórki kil-

ku nawet osób w jednym mieszkaniu były surowe wzbronione.

Około godziny 5-ej przed wieczorem bramy wogóle zamykano. Ruch uliczny o tej porze szybko zamierał. Tu i owdzie słyhać było jedynie tętent kopyt koni kozackich lub ciężkie kroki patroli policyjnych. Warszawa robiła wrażenie wymarłego miasta.

Mimo wysiłków władz strajk jednak trwał w dalszym ciągu, i nie było widoków, by go tak szybko przerwano. W generał-gubernatorstwie zaczęto się z tego powodu coraz bardziej niepokoić. Codziennie odbywały się w ratuszu wielogodzinne narady, poświęcone tej właśnie sprawie. Zastanawiano się głównie nad tem, jak sprowokować rozruchy, które dałyby powód do krwawej rozprawy ze strajkującymi. Wreszcie znany ze swych okrucieństw policmajster Warszawy pułkownik Nolken przybył do generał-gubernatora Czertkowa z gotowym planem. Plan uzyskał aprobatę najwyższego satrapy carskiego.

Tejże nocy, koło godziny dwunastej przed więzieniem przy ulicy Daniłowiczowskiej zajechał adjutant Nolkena w towarzystwie komisarza policji oraz dwóch

agentów. Przybysze szybko wysiedli ze saneczek, a jeden z agentów zadzwonił energicznie do bramy więziennej. Dozorca, który ich wpuścił, otrzymał rozkaz, by natychmiast obudził naczelnika.

Po kilku minutach wszyscy siedzieli już w kancelarji więziennej i wspólnie się naradzali nad układaniem jakiejś specjalnej listy więźniów. Gdy lista była wreszcie gotowa i zawezwano kancelistę, by ją przepisał na czysto, ten mógł tylko stwierdzić, że na liście widniały nazwiska najbrutalniejszych bandytów, rabusiów, alfonsów i t. p.

Dochodziła właśnie godzina druga, gdy w zamkach więziennych zabrzęczały klucze, i jedne za drugimi otwierały się drzwi kilkunastu cel.

Obudzono więźniów, wymienionych w liście. We więzieniu powstał ruch nieładny. Opryszkowie, dla których życie więzienne było chlebem codziennym, obsypywali się nawzajem pytaniami: Co zaśzło? Co oznacza ta ogólna pobudka po północy? Co oznaczają życzliwe spojrzenia agentów i komisarzy?

Wnet ustawiono ich dwójkami i wśród nocnej ciszy zaprowadzono do ratuszu. Tu zebrano wszystkich opryszków w je-

dnym dużym pokoju. Agenci i policjanci rozmawiali z nimi po bratersku. Często wano papierosami. Głośno rozprawiano o strajku, łżono „paniczów“, bałamucących prosty lud. Więźniowie jeszcze nie zdawali sobie sprawy o co chodzi, ale nastrój panował wśród nich wyśmienity.

Wtem w pokoju ukazał się komisarz policji i wygłosił przemówienie do zebranych opryszków. Zaznaczył że przemawia w imieniu policmajstra Nolkena, który kazał wypuścić więźniów, by sobie trochę pohulali po mieście.

Opryszków zaopatrzono w noże i laski. Dano również każdemu 50 kopiejek. Bliższych instrukcji co do porachunku z „buntownikami“ udzielali licznie zebrani agenci i policjanci.

Już dniało, gdy zgaja niespodzianie zwolnionych opryszków opuściła ratusz. Z krzykiem i hałasem więźniowie kryminalni rozeszli się po mieście.

Masakra kozacka

Skutki pomysłu Nolkena szybko dały się we znaki mieszkańcom Warszawy. W ciągu dnia rozbijano szyby wystawowe.

kradziono i rabowano, zaczepiano przechodniów; bito ich niemiłosiernie. Pijani opryszkowie wałęsali się po ulicach i bezkarnie grasowali po sklepach.

Za wszystkie te wyczyny władz czyniły odpowiedzialnymi przywódców strajku. Rozruchy były wspaniałym pretekstem, by udzielić daleko idących pełnomocnictw kozakom. Im właśnie poruczono przywrócenie „ładu i porządku” w mieście.

Wojsko przy każdej okazji strzelało na prawo i na lewo. Zaś zwolnieni opryszkowie czynili wszystko, by tych okazji było jaknajwięcej. Masakra kozacka trwała cały dzień, a jej rezultatem były setki rannych i zabitych.

W Warszawie zapanowało niezwykle przygnębienie, a w szeregach robotniczych wszystko wrzało z oburzenia i pałało chęcią zemsty.

Na zebraniach coraz natarczywiej domagano się od przywódców, by uzbroili masy. Bezsilność i bezczynność wobec mordów kozackich doprowadziły ludzi wprost do pasji. O czemkolwiek agitatorzy partyjni zaczęli przemawiać, na czoło wysuwała się natychmiast najbardziej piekąca sprawa: kwestja zbrojnego oporu.

Powszechnie stawiano za wzór tero-

rystów rosyjskich z partji socjal-rewolucjonistów.

Opowiadano najfantastyczniejsze szczegóły o znanym zamachu na rosyjskiego ministra Plewego. Każda nowa ofiara masakry kozackiej podsycala żar zemsty. O bombach i broni mówiono, jak wygłodzeni o chlebie.

Musiano usunąć w bok wszystkie inne sprawy i zająć się żywiołowym żądaniem mas, by śmierć i rany dziesiątków ofiar masakry zostały pomszczone.

Zamach na generał-gubernatora

Przez ulicę Wałową na Pradze przejeżdżał codziennie przed południem oddział kozaków, wracających z wartowni do koszar. Tam właśnie postanowiono dokonać pierwszego zamachu.

Kilku chemikom, którzy sympatyzowali z ruchem rewolucyjnym, polecono, by sporządzili potrzebną ilość bomb. W międzyczasie werbowano ochotników dla akcji zamachowej.

W krytycznym dniu wtajemniczeni z zapartym tchem oczekiwali wieści z Pragi.

Zamach nie udał się jednak, ponieważ bomby nie wybuchły.

Z tego samego powodu nie udało się również próba zamachu na rogu Nowolipek i Dzikiej.

Następne zamachy postanowiono przeto dokonać narazie nie bombami, lecz browningami. Przystąpiono wnet do wykonania wyroków śmierci, wydanych przez partję P. P. S. na generał-gubernatora Czertkowa i na policmajstra Nolkę.

Zamach na Czertkowa wyznaczono na 3 lutego. W „Dzienniku Warszawskim” wyczytano że tego właśnie dnia o godz. pół do piątej popołudniu generał-gubernator wyjedzie z Warszawy za granicę na kurację. Miała go odprowadzić cała rodzina.

Plan zamachu do ostatniej chwili trzymano w ścisłej tajemnicy. Aż do godziny 2-jej nie wiedzieli o nim nawet ci, którym poruczono wykonanie zamachu. Byli to Okrzeja i Żukowski. Popołudniu kazano im przerwać pracę i każdego oddzielnie zapoznano ze szczegółami planu zamachowego. Zaopatrzone ich w browningi i kazano natychmiast jechać na dworzec wiedeński. Tam dopiero każdy z nich dowiedział się, kim jest jego współnik.

Kika minut po trzeciej obaj wyszli na posterunki z naładowanymi brownin-gami w kieszeniach. Stali koło drzwi, prowadzących z pierwszej klasy na peron. Okrzeja — po prawej stronie. Żukowski — po lewej. Udawali, że się nie znają.

W poczekalni pierwszej klasy

Zbliżyła się godzina pół do piątej. Na znak dany przez Okrzeję obaj zamachowcy spuścili zatrzaski u browningów. Zadzwoił tradycyjny rosyjski dzwon kolejowy. Z salonu pierwszej klasy nikt narazie nie wychodził.

Okrzeja zdążył rzucić kilka słów Żukowskiemu i w urywanych zdaniach przypomnieć mu plan działania.

„Ja daję pierwsze dwa strzały. Ty dokończysz. Później pod pociąg, który stoi za zagranicznym. Czołgamy się na czworakach pod wagonami aż do wyjścia na Chmielną. Stamtąd — na Marszałkowską nurka w tłum”.

Nie zdążył dokończyć, gdy we drzwiach ukazał się niski, szczupły jego-mość z przenikającym do szpiku kości wzrokiem. Stał chwilę i badawczo spoj-

rzał na Okrzeję. Okrzeja patrzył mu prosto w twarz. Żukowski silniej zacisnął browning w rękę. Jegomość odwrócił się, zbliżył się do pociągu i wsiadł do wagonu.

Dano drugi dzwonek. Zamachowcy wyteżają wzrok i słuch. Z sali pierwszej klasy dochodzą twarde kroki kilku osób. Zbliżają się ku drzwiom. Okrzeja i Żukowski czekają z zapartem tchem. Prawe ręce w kieszeniach kurczowo ściskają nalożowane browningi.

Trzeci dzwonek. Twarde kroki z pierwszej klasy oddalały się i w końcu całkiem zamilkły. Nikt z klasy pierwszej więcej nie wyszedł. Pociąg ruszył.

Rozpacz Okrzei i Żukowskiego nie miała granic. Byli pewni, że generał-gubernator był przebrany po cywilnemu, i oni go nie poznali, lub też, że wyszedł do pociągu innemi drzwiami. Zawstydzeni opuścili dworzec i udali się na zgóry umówione miejsce.

Tam dopiero dowiedzieli się, że Czertkow w ostatniej chwili postanowił odroczyć na jakiś czas swoją podróż zagraniczną. Prasa podała jako powód niedyspozycję generał-gubernatora. Mówiono jednak powszechnie, że policja obawiała

się właśnie zamachu i dlatego radziła zmienić termin wyjazdu.

Wersja ta nie była bynajmniej porażką dla zamachowców. Masakra styczniowa dotychczas pozostała niepomszczoną, a to rozzuchwaliło władze i zmniejszyła autorytet rewolucjonistów wśród mas. Postanowiono nie rezygnować lecz szukać nowych dróg i sposobów. Po długich naradach uchwalono wreszcie całkiem nowy system dla akcji zamachowej.

Pech, który prześladował dotychczasowe plany terrorystyczne, przypisywano głównie temu, że zarówno organizatorzy, jak i wykonawcy zamachów nie byli w dostatecznej mierze wyszkoleni. Postanowiono wobec tego założyć stałą organizację bojową, składającą się z członków całkiem i wyłącznie tej sprawie oddanych.

O tym planie wiedzieli narazie jedynie najwybitniejsi przywódcy rewolucyjni. W myśl uchwał nowa organizacja miała być całkiem wyodrębnioną i izolowaną od pozostałych grup i kółek partyjnych. Otoczono ją od pierwszej chwili wzmożoną konspiracją.

W kierownictwie partji zastanawiano się w międzyczasie nad kandydatura-

mi, wchodzącemi w rachubę przy sformowaniu pierwszego sztabu mającej powstać organizacji bojowej. Narady prowadzono w przyspieszonym tempie, ponieważ terror władz stawał się z dnia na dzień silniejszym i nie chciano zbyt długo zwlekać z odwetem. Po dwóch dniach zarówno plan założenia organizacji bojowej oraz skład jej sztabu był już całkiem gotowy i zatwierdzony.

S. B. O.

Na trzeci dzień po nieudanym zamachu na Czertkowa odbyła się pierwsza narada założycieli Spiskowo-Bojowej Organizacji P. P. S., która stała się wkrótce postrachem policji carskiej i zasłynęła pod skróconą nazwą S. B. O.

W skromnem mieszkaniu pewnej akuszerki-rewolucjonistki, w domu przy ulicy Przemysłowej 1 zebrała się trójka bojowców, którzy mieli stanowić pierwszy sztab organizacji bojowej. Zbiórka była niezwykle zakonspirowana. Nawet właścicielka mieszkania nie wiedziała, kim są trzej towarzysze, których Komitet Warszawski do niej przysłał. Nie wiedziała

ównież przez długi przeciąg czasu, że właśnie w jej mieszkaniu została założona pierwsza organizacja bojowa.

Owymi trzema bojowcami, którzy zebrali się w domu przy ulicy Przemysłowej, byli: „Katajama” (obecny premier Aleksander Prystor), „Ernest” (pseudonim młodziutkiego bohatera walk niepodległościowych Okrzei) i „Hara-kiri” (Żukowski).

Pierwszy zabrał głos Prystor-Katajama, któremu Komitet Centralny partji polecił założyć organizację bojową i kierować jej pracami. Poinformował on swych towarzyszy o odpowiedzialności i obowiązkach, jakie na nich będą ciążyły.

Z rozkazu Katajamy, Okrzeja i Żukowski mieli natychmiast zmienić całkowicie swój dotychczasowy tryb życia. Porzucili nie tylko swe zajęcia prywatne, lecz także wszelką działalność agitacyjną w partji i poświęcili się wyłącznie pracy bojowej. By się jeszcze bardziej zakonspirować, nadali sobie nowe pseudonimy i zmienili mieszkania.

Z każdej dzielnicy wybrano po 1—2 z pośród najodważniejszych i najdzielniejszych członków P. P. S. Wraz ze wspo-

mnianą trójką tworzyli oni pierwszą bojówkę, składającą się z 14 ludzi.

Rozpoczęły się ćwiczenia w strzelaniu. Wcześniej nad ranem wyjeżdżano hen za miasto, gdzie przedtem jeszcze upatrzone place i lasy, nadające się do ćwiczeń bojowych. Trzeba było zastosować niezwyczajne środki ostrożności, by nie zostać przyłapanym przez okolicznych chłopów przypadkowych przechodniów lub policjantów.

Wyrok śmierci

Po tygodniu postanowiono przystąpić do właściwej pracy. Na specjalnym zebraniu całej czternastki Katajama odczytał cztery wyroki śmierci, wydane przez P. P. S. Dotyczyły one warszawskiego policmajstra Nolkena, generała Nowosilcowa i dwóch stójkowych. Zebrani wysłuchali rozkazu Katajamy w skupieniu. Natychmiast przystąpiono do omówienia szczegółów planowanych zamachów.

Najwięcej uwagi poświęcono zamachowi na Nolkena, inicjatora masakry styczniowej. Woźny ratuszowy, który należał do P. P. S., wy dostał oficjalny roz-

kład dnia policmajstra i wręczył go przedstawicielowi bojówki. Jako najodpowiedniejszą wybrano godzinę 10 rano, kiedy to Nolken według rozkładu jeździł codziennie z raportem do gubernatora. Zanim miał być dokonany na ulicy Senatorskiej. Od ratusza aż do Krakowskiego Przedmieścia były ustawione patrole bojowców. Wyjmowaniem chusteczek z kieszeni mieli oni dać znak zamachowcom, że policmajster wsiadł już do swej kabitki.

Powtórzono tę zasadzkę kilkakrotnie, ale ciągle bez rezultatu. Nolken ani razu o podanej porze nie opuścił ratusza. Okazało się, że wspomniany oficjalny rozkład dnia policmajstra nie zgadzał się z faktycznym rozkładem. Nolken wiedział o nienawiści, jaką pałają ku niemu rewolucjoniści i stale obawiał się zamachu na swą osobę. To też zastosowywał nadzwyczajne środki ostrożności. Starał się wedle możliwości wyjeżdżać na miasto codzień o innej porze. Nigdy zaś nie opuszczał ratusza o godzinie podanej w oficjalnym rozkładzie.

Wyznaczono czterech bojowców, których zadaniem było śledzić przez kilka dni bezustannie policmajstra. by w ten

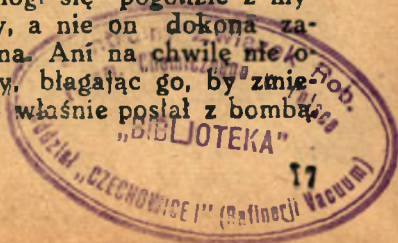
sposób można było ostatecznie ustalić najodpowiedniejszy czas i miejsce dla dokonania zamachu. W ciągu trzech dni policmajster warszawski był podwójnie „strzeżony”. Prócz jego własnych wywiadowców... spręszczali zeń oka wywiadowcy S.B.O.

„Fircyk z bombonlerką”

Stwierdzono, że najczęściej Nolken opuszcza gmach ratusza między 4-tą a 5-tą wieczorem, udając się do zarządu gubernjalnego, który znajdował się na Krakowskiem Przedmieściu.

Postanowiono pójść z bombą przed pomnik Paskiewicza i stamtąd rzucić ją na przejeżdżającego policmajstra. Zadanie to poruczono uprzednio bojowcowi Zdunowi. W ostatniej chwili musiano jednak decyzję zmienić.

„Kostek”, ślusarz z zawodu obecnie fabrykant broni i amunicji w Belgji) tak się przejął masakrą styczniową, że w żaden sposób nie mógł się pogodzić z myślą, że ktoś inny, a nie on dokona zamachu na Nolkę. Ani na chwilę nie opuszczał Katajamy, błagając go, by zmienił decyzję i jego właśnie posłał z bombą.



Katajama w końcu się zgodził. Przy-
stąpiono do ostatnich przygotowań. Bom-
ba leżała w pudełku od bombonierki. Ko-
stek musiał przeto włożyć elegancki ko-
stjum, aby bombonierka w jego rękę nie
budziła podejrzenia u przechodniów. W
ostatniej chwili Katajama zauważył spra-
cowane dłonie Kostka, które wcale nie
harmonizowały z jego garniturem i „bom-
bonierką”. Kazał mu przeto włożyć parę
eleganckich rękawiczek.

Gdy Kostek wyruszył na miasto, wy-
glądał on jak typowy fircyk warszawski.
udający się z podarunkiem do swej ko-
chanki.

Przed pomnikiem Paskiewicza

Koło godziny piątej Kostek znalazł
się już na swym posterunku przed pom-
nikiem Paskiewicza. Spacerował po trotu-
arze, wydając co chwila zegarek, jak-
gdyby czekał zniecierpliwiony na jakieś
umówione ren dez-vous.

W pewnej odległości stało na swych
posterunkach jeszcze siedmiu bojowców.
Trzej z nich pełnili funkcje wywiadow-
ców, zaś pozostali mieli w razie potrze-
by strzelać, by umożliwić ucieczkę Kostkowi

Wieczór był ciemny, a ruch na Krakowskiem Przedmieściu — znaczny. Dzwonki saneczek mieszały się z głośnemi rozmowami spacerowiczów. Trzeba było bardzo skupić uwagę, by nie przeoczyć przejeżdżającego policmajstra. Oczywiście całej ósemki były skierowane ku wylotowi ulicy Senatorskiej, skąd Nolken miał przybyć. Jeden bojowiec udał się nawet w kierunku ratuszu, by stwierdzić, czy policmajster nie pojechał czasami jakąś okreśną drogą. Nic pewnego jednak stwierdzić nie mógł. Minęła godzina, dwie, a Nolkena wciąż nie było widać. Wreszcie koło godziny ósmej bojowcy opuścili swe posterunki, nie dokonawszy zamachu.

Próbie zamachu powtórzono kilkakrotnie, wciąż jednak bez rezultatu. Nolken otoczył się liczną lajbguardją, która składała się z najzdolniejszych szpicli. Wystarczyło najmniejsze podejrzenie, by policmajster zrezygnował z najpilniejszego wyjazdu i dał się zastąpić przez któregoś ze swych pomocników.

Fiasko wszystkich zamachów przynębiło niezmiernie niedoświadczonych bojowców. Potrzeba było żelaznej cierpliwości i silnej woli, by nie dać się na duchu

I móc kontynuować przygotowania do coraz to nowych prób zamachowych.

A terror policji w międzyczasie nie ustawał. Znęcano się nad każdym przechodniem, który wydawał się podejrzanym pierwszemu lepszemu policjantowi. Pono-cach dochodziły z cyrkułów płacze i jęki katowanych. Masy coraz energiczniej domagały się akcji odwetowej.

Prystor-Katajama zwołał całą czter-nastkę bojową, by zastanowić się nad wy-tworzoną sytuacją. Postanowiono odroczyć narazie zamach na Nolkę, a zająć się przygotowaniem do jakiegoś innego zbrojnego czynu odwetowego. Wysuwano naj-różniejsze projekty. Jedni proponowali wznowić zamach na oddział kozaków, inni wymienili nazwiska całego szeregu dygni-tarzy carskich, których łatwiej było złapać, aniżeli Nolkę lub Czertkowa. Żadna jednak z tych propozycji nie została przyjętą.

„Nasz czyn — argumentował Kata-jama — musi przede wszystkim być od-powiedzią na okrucieństwa policji. Odwe-tu za znęcanie się nad aresztowanymi — oto, czego się od nas tak bardzo domaga-ją masy robotnicze!”

Postanowiono przeto rzucić bombę

do jednego z najbardziej znienawidzonych cyrkulów policyjnych. O wybór cyrkulów nie było trudno. Wszyscy zgodni byli co do tego, że „pierwszeństwo” należy się w tym wypadku cyrkulowi policyjnemu, który mieścił się przy ulicy Chłodnej. Do cyrkulów tego, jako położonego blisko dzielnicy, zamieszkaney przez robotników, władze pakowały najokrutniejszych policjantów, różnych zboczeńców, sadystów i t. p. To też cyrkul przy ulicy Chłodnej zasłynął wnet po całej Warszawie ze swych wyrażonych okrucieństw. Ludzie wychodzili stamtąd kalekami na całe życie. Bojowcy zdawali sobie sprawę, że żaden choćby najbardziej bohaterski czyn nie znajdzie takiego poklasku w społeczeństwie, jak udany zamach na wspomniany cyrkul.

Bomba na ulicy Chłodnej

Była godzina szósta wieczorem, gdy ósemka bojowców udała się na ulicę Chłodną, podążając w kierunku cyrkulów. Szli oddzielnie, lecz za pomocą umówionych znaków utrzymywali stały kontakt między sobą.

Przed bramą cyrkułu bojowcy natknęli się na większy patrol, który właśnie stamtąd wyszedł. Patrol składał się z 4 policjantów, 4 żołnierzy i 4 konnych żandarmów. Bojowcy nie zatrzymali się przed cyrkułem, lecz posuwali się krok w krok za patrolem. Szybko się między sobą porozumieli i zdecydowali, że bombę należy rzucić na ten właśnie patrol.

Kostek z bombą w ręku szedł pierwszy. W pewnej odległości szli za nim w rozsypce pozostali bojowcy.

Patrol posuwał się miarowym krokiem w kierunku ulicy Wolskiej. Żołnierze i żandarmi spokojnie gwarzyli między sobą, podczas gdy policjanci bacznie obserwowali każdego przechodnia. Jeden z nich obejrzał się wstecz i podejrzliwym okiem zerknął na Kostka.

Kostek szedł dalej. Policjant szepnął coś sąsiadowi w szeregu, i ten również się obejrzał.

Patrol był już koło roгатki Wolskiej gdy jeden z konnych żandarmów nagle skierował ku Kostkowi, oddalonemu o jakie 25 kroków.

Kostek pędził krokiem, idąc wprost na żandarma. Szybko spuścił bombę z palca i ułożył ją na prawej dłoni.

Siedmiu bojowców ustawiło się na trotuarach, zaś Kostek z bombą w ręku pobiegł środkiem ulicy w kierunku patrolu.

Koń żandarma zatrzymał się przez chwilę, gdy Kostek z niezwykle dużym rozmachem rzucił bombę w sam środek patrolu.

Bomba trafiła w bagniet żołnierski. Stamtąd ześlizgnęła się, zahaczyła o uprzęż konia żandarmskiego, poczem spadła na ziemię.

Żołnierze i policjanci nie wiedzieli co czynić z przestרחu. Koń jednego z żandarmów stanął dęba. Rozległ się ogłuszający huk.

Panika i spustoszenie

Siła wybuchowa bomby okazała się wprost niezwykłą. Od huku zadrżały domy. Aż do ulicy Karolkowej ani jedna szyba nie pozostała w oknach. W niektórych domach wypadały nawet ramy okien. Lampy wiszące spadały na podłogi. Meble przewracały się w mieszkaniach. W promieniu przeszło 100 metrów wszyscy przechodnie zostali oszołomieni. Przez jakiś czas nie byli zdolni słowa wymówić.

Niektórzy upadli na ziemię i trwało kilka minut zanim byli w stanie się podnieść.

Cała ulica pokryta była na odległości kilkuset kroków czarnym śmierdzącym dymem. Było zupełnie ciemno. Dym zasłonił sobą domy, bruki i t. d. Chwilami tylko z ciemności wydostawały się czerwone słupy ogniste, wznoszące się z miejsca eksplozji i sięgające aż do trzeciego piętra.

Przechodnie, których eksplozja nie potrafiła całkiem ogłuszyć, rzucili się w paniczną ucieczkę. Trotuary były pokryte warstwami szkła z rozbitych szyb. Uciekający ślizgali się, jak na lodzie i upadali jeden na drugiego, kalecząc się niemożliwie.

Bojowcy również zostali ogłuszeni hukiem wybuchu. Upadli i przez jakiś czas nie byli w stanie podnieść się z pozycji leżącej czy siedzącej, w jakiej się znaleźli. Po kilku minutach spotkali się jednak na umówionem miejscu przed domem Nr. 24 przy ul. Chłodnej. Było ich tylko siedmiu. Nie było Kostka.

Ktoś bąknął, że Kostek został ranny. Cała siódemka wróciła natychmiast na miejsce eksplozji, by odszukać Kostka.

Nie było to rzeczą łatwą. Dym pod-

nosił się wprawdzie coraz wyżej i na ulicy było nieco widniej. Mimo to było bardzo ciężko rozpoznać kogoś wśród rannych i zabitych.

Z dwunastu żołnierzy i policjantów ani jeden nie wyszedł cały. Oderwane członki ciał ludzkich były pomieszane ze szczątkami karabinów, bagnetami i t. d. Ranne konie przygniatały swym ciężarem jeźdźców. Na zabitych i rannych pozostały jedynie strzępy bielizny. Ubranie i obuwie były całkiem zdarte.

Wojsko i policja defilują przed zamachowcem

Szukanie Kostka trwało około 5 minut. Zdała dochodziły już gwizdki policjantów, a bojowcy stali jeszcze na miejscu zamachu, chcąc rozpoznać swego towarzysza. Kostka jednak nie znaleźli.

Wolnym krokiem siódemka udała się na Elektoralną, gdy stamtąd nadciągały właśnie oddziały wojska, a za nimi cała zgraja komisarzy, szpiclów i t. d.

Bojowcy przeszli obok nich. Wojsko cwałowało ku Wolskiej, nie zwracając na nikogo uwagi. Również władze policyjne

chciały jaknajprędzej być na miejscu zamachu. Dość że bojowców nikt nie ścigał, ani zairzymał.

Gdy przybyli na Elektoralną spotkali Kostka, spokojnie przyglądającego się całemu harmiderowi. Kostek zdążył odskoczyć spory kawał, jeszcze zanim bomba wybuchła, i wyszedł bez szwanku. Gdy nastąpiła eksplozja Kostek był już dość daleko. Huk nawet go nie oszołomił. Zanim jeszcze zdołano się zorientować, co zaszło, Kostek był już na Elektoralnej.

Dygnitarze policyjni, komisarze, agenci i policjanci, którzy spieszyli z ratusza na rogałkę Wolską, przechodzili tuż obok Kostka. Nikomu ze szpiclów nie przyszło na myśl, by ten „gapiący się fircyk” mógł mieć coś wspólnego z zamachem.

Nolken Jedzle

Bojowcy mieli już zamiar opuścić ulicę Elektoralną, gdy zdala ukazały się saneczki, otoczone przez liczny patrol policji konnej. Saneczki cwałowały w kierunku Wolskiej i wnet zrównały się z grupą zamachowców.

Kostek zdążył zająrzeć do saneczek i zawołał do swych towarzyszy.

„Toć to Nolken!”

Kostek, który śledził w swoim czasie przez kilka dni każdy krok Nolkena, nie mylił się. Zaalarmowany niezwykle wybuchem na ulicy Chłodnej (była to wogóle pierwsza bomba w Warszawie), policmajster udał się osobiście na miejsce zamachu, by być obecnym przy pierwszym śledztwie.

Po długich badaniach Nolken „stwierdził”, że bombę rzucono z dachu sąsiedniego domu. Nie brakło ludzi, którzy zapewniali, że widzieli to na własne oczy.

Pierwszy udany zamach bombowy wywarł olbrzymie wrażenie. Wszędzie mówiono o tem niezwykle zajściu. Wśród policjantów można było nawet zauważyć tu i owdzie pewien lęk. W cyrkulach znęcanie się nad aresztowanymi nie ustawało wprawdzie, zdołano jednak stwierdzić, że po zamachu na ulicy Chłodnej niektórym policjantom bardzo zależało na tem, by nie uchodzić wśród robotników za okrutników. Autorytet rewolucjonistów i popularność S. B. O. w każdym razie wzrosły niezmiernie.

Teraz zamachy stały się dość czę-

stym zjawiskiem, przyczem niemal wszystkie kończyły się pełnem lub choćby znacznem powodzeniem. Żaden sukces nie mógł jednak zadowolić bojowców, jak długo S. B. O. była całkiem bezsilną wobec policmajstra Nolkena, który miał na swem sumieniu setki ofiar. Zamach na Nolkena był przeto w dalszym ciągu marzeniem niemal każdego bojowca. Tak zwana „trójka”, która stanowiła sztab S. B. O., otrzymała coraz to inne projekty zamachu na Nolkena. Niektóre z tych planów były wprost genialnie pomyślane, ale żaden się nie udał. Nolken był nieuchwytny. Nigdy się nie zjawił tam, gdzie go oczekiwano. Zawiodły nawet informacje, otrzymywane z „najpewniejszych źródeł”.

Przed koszarami kozackimi na Bródnie

Wreszcie pod koniec lutego odbyło się posiedzenie sztabu organizacji bojowej, na którem postanowiono podstępem wywabić Nolkena na zgóry upatrzone miejsce. Bojowcom, którzy ciągle śledzili policmajstra, udało się mianowicie stwier-

dzić, że przybywa on po każdym poważniejszym zamachu na miejsce zajścia. Tę okoliczność postanowiono wykorzystać, by raz wreszcie wykonać wyrok, wydany przez partję na Nolkena po masakrze styczniowej.

W myśl planu Prystora-Katajamy czternastka bojowa została rozbita na dwie części. Szóstka udała się z Okrzeją na czele na Bródno, by rzucić bombę do koszar kozackich, które się tam mieściły. Na Zjeździe koło mostu stał Harakiri ze swą siódmką. Liczono na to, że Nolken uda się na miejsce zamachu, i zadaniem Harakiriego było rzucić na niego bombę, gdy będzie przejeżdżał przez most, podążając z ratusza na Bródno. Kierownictwo całą akcją spoczywało w rękach Prystora-Katajmy, do którego mieli się zgłosić bojowcy po dokonaniu zamachu.

Szczęście jednak i tym razem sprzyjało Nolkenowi. Okrzeja przybył właśnie ze swą szóstką na Bródno i znalazł się w odległości jakichś 200 kroków od koszar, gdy stamtąd wyruszyli kozacy, podążając za miasto na ćwiczenia. Koszary były całkiem puste. Na warcie stał jakiś stary kozak. Nie było narazie, na kogo wykonać zamach.

Bojowcy czekali dość długo, przypuszczając, że przybędzie w międzyczasie choćby jakiś większy patrol wojskowy. Na ulicy było jednak całkiem głucho, i nikt się nie zjawił. Bojowcy zaczęli się niecierpliwić, wiedząc, że ich towarzysze na Zjeździe czekają na sygnał z Bródna.

W międzyczasie stary kozak na warcie zaczął zdradzać coraz większą podejrzliwość. Bojowcowi, który zbliżył się do koszar, by dokładniej zbadać sytuację, zagroził on, że go zastrzeli, jeśli natychmiast nie zniknie mu z oczu. Okrzeja zdecydowałby się już wreszcie rzucić bombę, mimo że w koszarach nikogo nie było, wątpił jednak, czy zamach na jakiegoś starego kozaka zdoła wywabić ostrożnego Nolkena z ratusza. Po pewnym namyśle bojowcy postanowili zrezygnować tym razem z zamachu i opuścili Bródno.

„Jakiś djabeł pilnuje i strzeże tego draba”, rzekł zirytowany Bohun, gdy czternastka bojowa znów zebrała się po nieudanym zamachu w konspiracyjnym mieszkaniu Prystora-Katajamy.

„A jednak nie wymknie się i wpadnie do naszych rąk” — zapewniał optymistyczny Kostek.

„Jutro powtórzymy próbę zama-

chu" — powiedział spokojnie Prystor. — „Będziemy tak długo na niego czatowali, aż go sprzątniemy. Nie zabierzemy się do żadnej innej roboty, dopóki nie załatwimy się z Nolkenem”.

Spokojne, lecz stanowcze słowa Kajtamy zmieniły radykalnie humor zebranych. W mig znikło przygnębienie, spowodowane fiaskiem zamachu. Postanowiono nie rozejść się, póki nie będzie opracowany plan nowego zamachu.

„Tym razem”, powiedział Okrzeja, „nie pójdziemy pod koszary na Bródno. Znają już nas tam, i mogą przyłapać, zanim jeszcze zdążymy coś zrobić.”

„Do 12 cyrkułu policyjnego na Pradze”, zaproponował któryś z czternastki.

„Racja!” — podchwycił Okrzeja „Mamy tam do wyrównania stary rachunek z Szarapem. Jeśli go zastaniemy w cyrkule, to go „dokończymy”.

Nikt się nie sprzeciwił wyborowi 12 cyrkułu, który cieszył się na Pradze podobną „popularnością”, jak cyrkuł na Chłodnej w Warszawie. Stało na tem, by próba zamachu została powtórzona następnego dnia w godzinach przedpołudniowych.

Jak S. B. O. wywabiła policmajstra?

Była godzina jedenasta, gdy bojowcy wyruszyli na swe posterunki. Przybyli, jak zwykle, każdy oddzielnie. Dla zamachu na Nolkena była wyznaczona siódemka z Kostkiem na czele, zaś dla cyrkułu na Pradze — piątka z Okrzeją. Wszyscy byli uzbrojeni w browningi z wyjątkiem Kostki i Okrzei, którzy mieli przy sobie bomby. Prystor wziął na siebie rolę łącznika między obiema grupami.

Bojowcy ledwo zdążyli zająć swe posterunki, gdy zaczął padać ulewny deszcz. Ludzie pouciekali do bram i mieszkań. Ulice szybko opustoszały. Dalsze wystawianie zamachowców na ulicy stało się podejrzanem i niebezpiecznem.

Bojowcy, rozstawieni na Zjeździe koło mostu Kierbedzia z niecierpliwością czekali na wybuch w cyrkułe praskim, przy ul. Wileńskiej. Katajama ciągle dojeżdżał na Pragę, by stwierdzić, jak tam sprawa stoi, i ciągle wracał z niczem.

W odległości jakichś kilkudziesięciu kroków od bojowców na Zjeździe kręcił się stójkowy, który coraz uważniej obserwował zamachowców. Ci wchodzili do bram, ale często wychodzili, by nie spóźnić ewentualnego przejazdu Nolkena.

Minęło już pół godziny, a z Pragi nic nie było słyhać. Stójkowy zaś wprost nie spuszczał z oka bojowców. Czynił nawet ruch, jakby zamierzał podejść do nich.

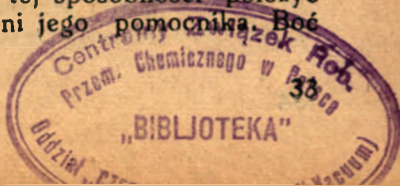
— Czemu zwlekają? — pytano z niecierpliwością Katajamy, gdy ten po raz czwarty wrócił z niczem.

— Bo nie mają w kogo rzucić bombę — brzmiała odpowiedź.

— Jeszcze trochę, a nas tu zaczepi stójkowy, i zamach Nolkena znów się nie uda — wtrącił młody bojowiec.

Prystor jedzie na Pragę z nową instrukcją

Postanowiono, by Okrzeja nie czekał więcej z bombą, lecz by ją natychmiast rzucił w bramę cyrkułu nawet, gdy nie uda mu się przy tej sposobności położyć ani komisarza, ani jego pomocnika. Boć



chodziło teraz przedewszystkiem o Nolke-
na, którego bomba na Pradze miała wy-
wabić z ratusza. Katajama wszedł do do-
rożki i udał się z tą decyzją na Pragę.

Na Pradze bojowcy również byli
bardzo zdenerwowani. Z powodu silnej
ulewy nikt prawie nie wychodził z cyr-
kułu, ani tam nie wchodził. Przemoknięci
do nitki z niecierpliwością wyczekiwali,
by ukazał się ktoś z wyższych szarż cyr-
kułu.

Zaczęto już powątpiewać, czy wo-
góle dojdzie tego dnia do zamachu, gdy z
bocznej uliczki wypadł policjant Szarap i
szybko wbiegł do cyrkułu.

Szarap był znanym okrutnikiem i
sadystą. Pełnił kiedyś funkcje fabrycznego
stójkowego przy fabryce „Labor” i w tej
roli korzystał z każdej sposobności, by
się znęcać nad robotnikami. Podczas ma-
sakry styczniowej wykazywał niezwykle
okrucieństwo wobec aresztowanych, któ-
rzy wpadli do jego rąk. Centralny komi-
tet P. P. S. wydał na Szarapa wyrok
śmierci jeszcze w pierwszych dniach lu-
tego. Mieli go wykonać dwaj bojowcy pod
kierownictwem Okrzei. Oczekiwano go
przed fabryką i strzelano doń 6 razy.
Bojowcy zdołali jednak tylko zranić w

skroń, a po 10 dniach Szarap opuścił szpital całkiem zdrow. Zaawansował szybko i stał się jeszcze okrutniejszym.

Okrzeja postanowił skorzystać z okazji i „załatwić” Szarapa. Nie czekał więcej na komisarza lub podkomisarza, lecz wyznaczył bombę właśnie dla Szarapa.

Szybko ustawił swoją czwórkę. Trzech bojowców zajęło posterunki na przeciwnym trotnuarze. Mieli oni czekać cierpliwie, aż Okrzeja wybiegnie z bramy, i zagrozić drogę każdemu, kto zechce Okrzeję ścigać. Wszyscy trzej byli zaopatrzeni w naładowane browningi, z których mieli się odstrzeliwać, aż Okrzeja znajdzie się w dość bezpiecznej odległości od cyrkułu.

Bojowiec „Chłop” stanął w bramie cyrkułu. Jego zadaniem było przybiec na pomoc Okrzei w razie gdyby go ktoś zatrzymał na podwórzu po wykonaniu zamachu. Gwizdanie miało być znakiem alarmowym dla „Chłopa”.

Okrzeja udał się za Szarapem do cyrkułu. Wbiegł szybkim krokiem do podwórka, a stamtąd udał się na pierwsze piętro. Drzwi właśnie zamknęły się za Szarapem, gdy Okrzeja znalazł się na

stopniach, wiodących do pokoju warty policyjnej.

Jeszcze raz objął wzrokiem rozkład schodowy i wyrztał przez okno, by zapamiętać plan podwórka. Deszcz stał się nieco słabszy. Po asfalcie przebiegł kotek i zatrzymał się przez chwilę przy skwerku w środku podwórka. Okrzeja ułożył sobie bombę wygodnie w rękę i miarowym krokiem zbliżył się ku drzwiom, wiodącym do wartowni.

Z pokoju dochodziły głosy policjantów, z werwą opowiadających coś Szarapowi. Okrzeja jeszcze raz wyrztał na podwórko. zdjął z palca sznurek od bomby, poczem pchnięciem lewej ręki otworzył naoścież drzwi.

Bomba w cyrkule policyjnym

W środku olbrzymiego pokoju przy dużym stole siedział Szarap. Obok niego stało 4 policjantów i o czymś rozprawiali. Dwaj policjanci czyścili karabiny, zaś jeden stał przy drzwiach.

— Czewo tut? — warknął policjant przy drzwiach.

Nie zwracając na niego uwagi

Okrzeja szybkim krokiem z bombą w ręku zbliżył się ku Szarapowi.

Okrzeja rzucił bombę Szarapowi pod nogi i szybko wybiegł z wartowni. Nie zdążył jednak przestąpić progu, gdy bomba wybuchła z niezwykłą siłą i zraniła także Okrzeję. Okrzeja upadł oszołomiony tuż koło drzwi. Kilka chwil leżał nieprzytomny. Gdy się obudził, wartownia była pełna czarnego dymu. Nic dokoła nie było widać. Okrzeja z wysiłkiem wstał i zszedł ze schodów. Na podwórku poczuł silny ból pod lewą łopatką. Resztkami sił starał się iaknajprędzej opuścić podwórko. Z bólu stracił jednak orientację. Brama znajdowała się po lewej stronie, a Okrzeja pobiegł naprawo i natrafił na mur oficyny. Ból coraz bardziej dokuczał, i Okrzeja w żaden sposób nie mógł trafić do bramy. Jak zatruta mysz, kręcił się nawpół przytomny dokoła skwerka, znacząc drogę kroplami krwi. Wreszcie uderzył twarzą o mur oficyny i z jękiem upadł na asfalt.

W tej chwili właśnie wybiegł z wartowni stójkowy Czepielewicz. Z rewolwerem w ręku biegł, by puścić się w pogoń za zamachowcem. Czepielewicz był już w bramie, gdy usłyszał jęk z głębi podwórka.

Obejrzał się i zauważył Okrzeję, tarzającego się na ziemi. Wystrzelił doń kilkakrotnie. Dopiero czwarta kula trafiła, zadrasnąwszy Okrzeję skórę pod pachą. Trafny strzał obudził zamachowca i przywrócił Okrzeję przytomność. Czuł silny ból w krzyżu i niezwykle osłabienie. Mimo to wstał i wydobyl browning z kieszeni.

Opanował go jakiś dziwny spokój. Znikło wszelkie zdenerwowanie. Okrzeja z zimną krwią obliczał swoje szanse oraz szanse przeciwnika.

Pojedynek między zamachowcem a policjantem

Przez chwilę policjant i zamachowiec stali jeden przeciw drugiemu, mierząc się wzrokami. Czepielewicz wyciągnął właśnie rękę, by wystrzelić po raz piąty, gdy padł celny strzał z rewolweru Okrzei, policjant padł trupem na miejscu.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Całej scenie przypatrywał się pomocnik komisarza Chwoszczyński wraz ze stójkowym Kamińskim. Gdy Okrzeja strzelał do Czepielewicza, Chwoszczyński i

Kamiński schowali się za obiema połowami bramy. Bali się strzałów Okrzei, gotowego, jak widzieli, bronić się do ostatniej kropli krwi.

Dopiero, gdy Okrzeja, po zabójstwie Czepieliwicza, rzucił się ku bramie wychodowej, by się dostać na ulicę, Kamiński wysunął się i podstawił mu nogę.

Okrzeja upadł. Wówczas obaj policjanci rzucili się na niego i wyrwali browning z ręki. Chwoszczyński kazał zamknąć bramę, poczem w niemiłosierny sposób zaczął pastwić się i znęcać nad ranym Okrzeją. Powykręcał mu ręce, targał za włosy, kopał, Kamiński zaś bił rewolwerem po twarzy.

Okrzeja natychmiast stracił przytomność. Wciągnięto go za włosy do cyrkułu, gdzie reszta policjantów w dalszym ciągu się nad nim znęcała. Okrzeja długo jeszcze leżał nieprzytomny na podłodze w wartowni. Dopiero gdy przybył komisarz i chciał przystąpić do badania, sprowadzono felczera cyrkułowego, by ocucił Okrzeję. Felczer pracował przeszło godzinę, aż przywrócił go do przytomności.

Na pytania komisarza Okrzeja nie jednak nie odpowiadał. Pogróżki komisa-

rza na nic się nie zdały. Okrzeja nie chciał nawet wymienić swego nazwiska.

Zwołano wszystkich obecnych w cyrkułe rewiowych, by spróbowali rozpoznać zamachowca. Wskutek kopnięć i uderzeń twarz Okrzei była całkiem zniekształcona. Rewiowi musieli usuwać całe warstwy błota i krwi, by poznać linje twarzy. Wreszcie jeden z rewiowych oświadczył, że widział Okrzeję, stale wchodzącego do domu przy ulicy Wołowej 30. Zawezwano stróża tego domu. Ten długo patrzył, ale w żaden sposób nie mógł poznać lokatora swego domu. Już rewiowy też zaczął wątpić, czy jest to istotnie osoba, którą widywał. Stróż jeszcze raz obejrzał, pobitego więźnia i zauważył, że brak mu palca u jednej ręki. To go dopiero naprowadziło na myśl, że jest to pewnie Okrzeja, o którym wiedział, że stracił palec przy pracy we fabryce.

Dalsze badania Okrzei również nie dały żadnego rezultatu. Raz tylko, gdy go chciano ująć kawą, papierosami i różnemi przyrzeczeniami, krzyknął do komisarza: „Padleć! Poszł won od menja!”

• Późno w nocy zaniecono Okrzeję do karetki i zawieziono do szpitala w cyta-

deli. Dwaj żandarmini z obnażonemi szablami stale dyżurowali przy jego łóżku.

Bomba na Pradze

Droga Prystora na Pragę była pełna przygód. Zależało mu bardzo na czasie, więc przynaglał stale dorożkarza. Deszcz padał rześisty, a wichry wiały wciąż i hucały. Wiatry z Wisły gryzły twarz i szumiały w uszach. Prystor natęzał słuch, by nie przesłyszeć, gdyby w cyrkule praskim wybuchła bomba, jeszcze zanim on zdąży tam przybyć.

Dorożka znajdowała się w odległości jakichś 100 kroków od ulicy Wileńskiej, gdy rozległ się głuchy huk. Konie stanęły na chwilę.

„Rzucił już!” — przeszło Prystorowi przez myśl. Nie był jednak pewny i postanowił naocznie się przekonać. Nie zatrzymał dorożkarza, lecz jechał dalej. Na ulicy było pusto i głucho. Z okien wyglądały wystraszone twarze. Tu i owdzie struchlały przechodzień biegł co tchu by jaknajprędzej dostać się do mieszkania.

„Tak! Bomba została rzucona.” —
odetchnął z ulgą Katajama.

Wnet powstała panika i niemożliwy ścisk. Tramwaje i dorożki z trudem torowały sobie drogę. Prystor postanowił wrócić jaknajszybciej na Zjazd do siódemki Kostka. Dorożkarz zląkł się jednak i postanowił pojechać na Bródno do domu.

Katajama musiał dość długo czekać, aż ruszył tramwaj, który miał go zawieźć w kierunku Zjazdu.

„Czy tylko nie spóźnię?” — kotłowało mu wciąż w głowie. — „Oni jeszcze wcale nie wiedzą o tem, że bomba została rzucona, Nolken przejedzie niespostrzeżony. Nolken przejedzie. Nolkenowi znów nic się nie stanie!”

A tu tramwaj posuwał się po kilka kroków naprzód i co chwila stawał. Prystor wysiadł wreszcie i próbował pieszo dojść do Zjazdu.

O b ł a w a

Prystor przeszedł ledwo kilkadziesiąt kroków, gdy znalazł się wśród grupy przechodniów, którym jakiś patrol żandarmerji

rewidował dokumenty, zatrzymując każdego podejrzanego. Chciał wrócić, gdy zauważył dwóch policjantów, podążających z Pragi w kierunku mostu.

„Jestem w pułapce! Nolken wyjdzie cały. Oni przy moście nic nie wiedzą”!

Zebrało się sporo przechodniów. Niektórzy próbowali wracać, by nie wpaść do rąk żandarmerji, lecz tych zatrzymywali policjanci. Nadjechał pierwszy patrol wojskowy. Żandarmi przestali legitymować przechodniów, zganiając niemal wszystkich w kupę i oddawając w ręce żołnierzy. Rozpoczęła się istna oblawa na ludzi.

Jeszcze trochę, i Katajama również znalazłby się wśród zaaresztowanych, których żołnierze mieli popędzić do aresztu w ratuszu, — gdy ze strony Pragi zaczęły właśnie nadjeżdżać tramwaje, które utorowały sobie wreszcie drogę wśród ścisku ludzi, dorożek i wozów ciężarowych. Katajama zbliżył się niespostrzeżenie do szyn i z błyskawiczną szybkością skoczył do przejeżdżającego tuż obok tramwaju. Policjant, który nadszedł z Pragi wołał za nim i dał znaki, chcąc zatrzymać tramwaj. Nikt jednak prócz Katajamy jego znaków nie zauważył, i tramwaj szybko mknął dalej.

Katajama szuka policmajstra

Po drodze Katajama spotykał już pojedynczych policjantów, spieszących na miejsce eksplozji. Tu i ówdzie widać było patrol żołnierzy. Czem bardziej tramwaj zbliżał się ku Warszawie, tem mniej widać było cywilnych przechodniów, a coraz więcej wojska i policji, pieszej i konnej.

„Czy tylko zdążę, zanim Nolken nadjedzie? Przyjeżdża zwykle ostatni. A może sami się domyślili i wiedzą już, że Okrzeja rzucił? Tyle przecież wojska i policji. A może na Zjeździe jeszcze cicho całkiem i o niczem tam nie wiedzą. Obym tylko nie spóźnił.”

Stał na pomoście, gotów wyskoczyć z chwilą gdy tylko tramwaj zbliży się do Zjazdu. Ale do Zjazdu były jeszcze dwa przystanki. A tu tramwaj znów zaczął stawać coraz częściej, bo zatarasowały mu drogę wozy i tramwaje, które jechały przed nim. Katajama z niecierpliwością wyglądał z pomostu przed siebie, i każda chwila wydawała mu się wiecznością.

Konduktorzy krzyczeli na furmanów zaś ci odpowiadali wrzaskiem. Wreszcie tramwaj znów ruszył i posuwał się już bez przeszkód ku wzdowi.

Wojska, policji i tajnych agentów było bez liku. Wszystko spieszyło na Pragę. Katajama wpatrywał się w każdą przejeżdżającą dorożkę. „Czy tylko nie Nolken? Czy tylko nie przejedzie, zanim on, Katajama dobrnie do Zjazdu i uwiadomi towarzyszy?”

Oszołomiony Katajama na bruku ulicy

Nie, Nolken jeszcze nie przejechał. Tramwaj wjechał właśnie na Zjazd. Katajama stał już jedną nogą na stopniu tramwaju, gotów w każdej chwili wyskoczyć na jezdnię. Rozglądał się po placu, chcąc zawczasu zauważyć kogoś ze siódemki, by później nie tracić drogiego czasu na poszukiwania. Koło tramwaju przecwałował patrol kozaków. Katajamie zdawało się w pewnej chwili, że spostrzegł w zgiełku Kostka. Szykował się właśnie wyskoczyć z tramwaju, by dolecieć do Kostka, gdy w odległości jakichś kilkudziesięciu kroków wybuchła właśnie bomba. Eksplozja była tak gwałtowna, że Katajama został wyrzucony z tramwaju i kilka minut siedział oszołomiony na jezdni w środku ulicy. Do szybko oprzytomniał. około

było cicho i spokojnie. Obok niego leżeli jeszcze inni przechodnie. O kilka kroków dalej stała jakaś dorożka. Katajama wstał i zbliżył się do niej, obudził nawpół nieprzytomnego dorożkarza i pojechał do konspiracyjnego mieszkania, w którym wszyscy bojowcy mieli się zebrać natychmiast po zamachach.

Ostatnie przygotowania

Na Zjeździe nikt nie słyszał wybuchu bomby w praskim cyrku. Bojowcy stali na swych posterunkach, z niecierpliwością oczekując powrotu Katajamy. Niektórzy zastanawiali się właśnie nad tem, czy też nie trzeba będzie i tym razem odłożyć zamachu. Wtem na Zjeździe ukazały się cztery karetki pogotowia, pędzące z ulicy podwale na Pragę. Bojowcy domyślili się, że pogotowie spieszy z pomocą rannym na skutek eksplozji. Istotnie tuż za karetkami przemknęły trzy dorożki z komisarzami, szpiclami i policjantami. Bojowcy czynili ostatnie przygotowania do zamachu. Kostek spuścił bombę z palca i ułożył ją wygodnie na dłoni. W odległości kilkudziesięciu kroków stał „Boh”. Był

to jedyny bojowiec z całej siódemki, który dobrze znał Nolkena. Bohun z zawodu był ogrodnikiem. Przed wstąpieniem do organizacji bojowej pracował przez dłuższy czas w państwowym ogrodzie Łazienkowskim. Przychodzili tam często różni dygnitarze, a między innymi także i Nolken. Bohun miał przeto okazję poznać policmajstra. Bohun miał dać znak Kostkowi w chwili, gdy Nolken się ukaże.

Pozostali bojowcy, ustawili się bliżej Wisły w odległości kilkudziesięciu kroków od Kostka. Ich zadanie było dwojakie. Mieli strzelać do Nolkena w razie, gdyby bomba nie wybuchła lub gdyby nie położyła policmajstra trupem na miejscu. Prócz tego było umówione, że Kostek po zamachu będzie uciekał w kierunku Pragi. Bojowcy, rozstawieni tuż koło Wisły, mieli w razie niebezpieczeństwa spieszyć mu z pomocą i kryć ucieczkę.

Kostek miał wzrok utkwiony w Bohuna. Przez Zjazd cwałowały nieustannie dorożki z dygnitarzami, wojsko na koniach, oddziały policjantów i td. Bohun ciągle kiwał głową, że to nie jest Nolken.

Ż a m a c h

Nie trwało jednak długo, gdy na rogu ulicy Senatorskiej i Krakowskiego Przedmieścia ukazała się znana „kibitka” policmajstra. Pędziła z niezwykłą szybkością w stronę mostu. Bohun natychmiast zauważył w kibitce Nolkena. Znajdował się w towarzystwie pomocnika naczelnika „Ochrany”, oficera żandarmerji. Oficer podnosił się co chwila z siedzenia, chcąc jak by jeszcze bardziej przynaglić cwałujące konie.

Bohun biegł co tchu w stronę Kostka chcąc uprzedzić powóz z Nolkenem. Krzyczał do Kostka i dawał mu znaki, by był gotów do zamachu.

Kostek wybrał sobie odpowiednie miejsce na brzegu trotuaru. Chciał rzucić bombę ponad głowy koni i trafić bezpośrednio w Nolkena. Gdy powóz znalazł się w odległości kilkunastu kroków, Kostek podniósł rękę z bombą, celując prosto w pierś policmajstra. Konie się zlekły. Woznica instynktownie chciał się cofnąć. W tej chwili właśnie nastąpił rzut.

Rzutu był trafny. Nolken odrzucił swoją głowę w tył i zasłonił się prawą ręką. Bomba była tuż przed piersiami Nolkena, gdy ten z całą siłą odepchnął ją od siebie. Bomba odbiła się nieco, lecz od uderzenia ręk natychmiast wybuchła.

Strzelanina na Marjensztadt

Czwórka, znajdująca się w pobliżu Wisły, czekała według planu na przybycie Kostka. Bojowcy kręcili się na chodnikach po obu stronach Wisły. Ręce w kieszeniach mocno ścisnęły naładowane broni. Wpatrzeni w stronę Zjazdu, gotowi byli w każdej chwili rozpocząć walkę, gdyby ktoś ścigał uciekającego Kostka.

Ale Kostka nie było widać. Zniecierpliwieni bojowcy opuścili swe posterunki i pobiegli w kierunku Zjazdu.

Na bruku leżały konie Nolkena. Jeden zabity, a drugi charczał ciężko ranny. W błocie poniewierała się czapka policmajstra. O kilka kroków od miejsca eksplozji leżały odłamki „kibitki” Nolkena, wykręcone koła, szprychy i t.d. Zdaleka widać było pojedynczych policjantów i

żandarmów, spieszących w kierunku Zjazdu, Ani Nolkę, ani Kostka i Bohuma bojownicy jednak już nie zastali.

Czwórka zastanawiała się właśnie, co dalej czynić, gdy z ulicy Marjensztadt rozległa się gęsta strzelanina. Bojownicy byli pewni, że wywiązała się walka między Kostkiem a policją, i puścili się z nacięwanymi rewolwerami w wyciągniętych rękach w kierunku strzelaniny. Minęli jakiegoś stójkowego, który zląkł się na widok czterech uzbrojonych bojowców i usunął się w bok. Przechodnie ze strachu pouciekali do bram, a czwórka cwałowało w stronę strzałów

„Wiozą Kostka!”

W międzyczasie strzelanina ustała. Bojownicy byli już koło ulicy Marjensztadt, gdy stamtąd nadjechała dorożka z nastawioną budą. Przestraszone konie pędziły z niemożliwą szybkością.

— Wiozą Kostka — krzyknął ktoś z czwórki.

Trzej bojownicy ustawili się na jezdni z rewolwerami wyciągniętymi w kierunku woźnicy, zaś jeden starał się złapać konie

za lejce. Woźnica zląkł się i silnem pociągnięciem za lejce gwałtownie zatrzymał rozpędzone konie. Powóz omal się nie przewrócił.

Spuszczono budę, lecz Kostka w powozie nie znaleziono. Jakaś parka siedziała przytulony do siebie, drżąc ze strachu i zdenerwowania.

Dorożka pomknęła dalej, a bojowcy pospieszyli w stronę, skąd doszły do nich ostatnie strzały.

Na ulicy było zupełnie głucho. Kramy były zamknięte. Przy niektórych oknach stali wystraszeni mieszkańcy, którzy na widok uzbrojonych bojowców natychmiast cofnęli się w głąb mieszkań.

Bojowcy ostrożnie posuwali się naprzód po głuchej ulicy, obawiając się za sadzki w którejś z bram. Policja miała zwyczaj w podobnych sytuacjach przepuszczać uzbrojonych, by potem napaść na nich z tyłu. Na czele szedł Zagłoba. Zbliżał się właśnie ku ulicy Sowiej, gdy zauważył zabitego mężczyznę, leżącego w rynsztoku. Trup leżał twarzą ku ziemi. Był ubrany w czarny garnitur. Wszystko w nim do złudzenia przypominało Bohuna. Nawet wzrost.

— Bohun zabity! — z jękiem wykrzusił ze siebie Zagłoba.

Przybiegła reszta bojowców. Przewrócili trupa twarzą do góry. Była całkiem pokrwawiona. Rozpięli marynarkę i kamizelkę. Na trupie była koszula z typowo rosyjskimi naszywkami.

— Nie, to nie był Bohun!

Co się stało z policmajstrem?

Wybuch Bomby nie zabił Nolkena, lecz ciężko go zranił. Policmajster wypadł z powozu wraz z pomocnikiem naczelnika „Ochrany”, który mu towarzyszył. Ten wpadł do rynsztoku i pozostał tam w pozycji siedzącej.

Z Krakowskiego Przedmieścia przybiegł stójkowy, który pierwszy ochłonął z przerażenia i odzyskał przytomność. Doleciał do obu dygnitarzy policyjnych, by im pomóc wstać. Nolken broczył we krwi i był całkiem nieprzytomny.

Natomiast pomocnik naczelnika „Ochrany” wogóle nie był ranny. Powoli wracał do przytomności. Wstał i dał rozkaz stójkowemu, by sprowadził dorożkę. Ten coś odpowiedział, lecz oficer „Ochrany”

nie nie słyszał. Stójkowy powtórzył po raz drugi i trzeci, lecz z takim samym skutkiem. Okazało się, że pomocnik naczelnika „Ochrany” ogłuchł z powodu pęknięcia bębenków w uszach.

Po chwili zajechała dorożka, która zabrała Nolkę i zawiozła do jego prywatnego mieszkania w ratuszu.

Popłoch w mieszkaniu generał-gubernatora

Kostek w międzyczasie leżał nieprzytomny na jezdni. Został ranny w czoło, i twarz miał całą pokrwawioną. Po kilku minutach wstał, lecz w dalszym ciągu był oszołomiony. Na miejscu eksplozji było zupełnie ciemno, Kostek kręcił się nieprzytomny po jezdni i trotuarach. Potykał się co chwila o konie lub części powozu i kilka razy się przewrócił. Gdy na chwilę odzyskał przytomność, postanowił biec w kierunku Wisły, gdzie mieli go oczekiwać towarzysze. Stracił jednak szybko orientację i oszołomiony pobiegł w kierunku Zamku.

Na Zamku mieszkał generał-gubernator Maksimowicz.

Wybuch bomby poczynił tam wielkie spustoszenie. Z okien wypadły prawie wszystkie szyby. W pokojach meble były przewrócone. Domownicy ze strachem przysłuchiwali się tumultowi, jaki powstał na miejscu zamachu.

Huk bomby oszołomił całkowicie żołnierza, który stał na warcie przed bramą Zamku. Karabin wypadł mu z ręki, Wartownik przewrócił się i leżał oszołomiony. Nie zauważył, gdy Kostek przebiegł i upadł tuż koło niego.

Kostek leżał kilka minut na bruku. Gdy się ocknął, na miejscu eksplozji było już dość znaczne zbiegowisko.

Wartownik też już próbował wstać, lecz był jeszcze oszołomiony. Kostek postanowił jaknajprędzej opuścić niebezpieczne miejsce. Szybko wstał i otarł twarz z krwi, która ciekła z rany na czole.

W konspiracyjnym mieszkaniu

Kostek skierował swe kroki ku Wiśle w myśl zgóry ustalonego planu. Wtem nieopodal rozległa się gęsta strzelanina. Kostek pobiegł w kierunku strzałów. Musiał iść okreśną drogą, by nie wpaść w

ręce szpiclów i policjantów, którzy zaczęli się gromadzić na miejscu eksplozji. Po kilku minutach był na ulicy Marjensztadt.

Strzelanina jednak w międzyczasie zupełnie ustała. Na ulicy nie było żywej duszy. Kostek jeszcze raz otarł sobie twarz opuścił głuchą uliczkę, zawołał dorożkarza i kazał się zawieść na ulicę Śliską. Wsiadł przed domem Nr. 15 i pieszo doszedł do domu Nr. 33. Tam mieściło się konspiracyjne mieszkanie, do którego bojowcy mieli się udać natychmiast po dokonaniu zamachu. Wszyscy byli obecni z wyjątkiem Bohuna. Czekano jeszcze dość długo, a Bohuna nie było. Wśród zebranych zapanowało przygnębienie. Kostek i Zagłoba opuścili konspiracyjne mieszkanie i udali się na miasto, by się dowiedzieć, co zaszło z Bohunem.

Szpicel Gawryłow.

Bohun przebiegł spory kawał w kierunku Wisły. Zatrzymał się dopiero wów czas, gdy mu Kostek kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że wie już kto jedzie w „kibitce“. Bohun stał jeszcze chwilę, przyglądając się jak Kostek szykuje się do rzutu.

Wtem odczuł silne uderzenie w głowę. Jakaś mocna dłoń chwyciła go za kark. Bohun odwrócił się nieco. Był w rękach znanego szpicla Gawryłowa na którego Centralny Komitet P. P. S. wydał podczas strajku styczniowego wyrok śmierci.

Gawryłow należał do „lejb-gwardji” warszawskiego policmajstra. Gdy Nolken udał się na miejsce zamachu praskiego, zabrał ze sobą dla większej pewności wypróbowanego szpicla Gawryłowa i jego pomocnika. Agenci jechali na rowerach tuż za „kibitką” policmajstra.

Gawryłow zauważył, jak Bohun biegł po ulicy i dawał znaki Kostkowi. Agenci zeskoczyli z rowerów, zrzucili z siebie palta i puścili się w pogoń za Bohunem. Szybko go dopędzili, gdy zatrzymał się na chwilę, by przyglądać się zamachowi.

Gawryłow, sapiąc ze zmęczenia, jedną ręką ocierał sobie pot z czoła, a drugą trzymał Bohuna. Drugi szpicel nieustannie gwizdał, przywołując na pomoc policjantów. Gawryłow chciał im oddać Bohuna, by go zaprowadzili do komisariatu. Sam zaś chciał pozostać na miejscu zamachu.

W tłumulcie, jaki powstał po wybuchu bomby, nikt jednak nie zwrócił uwagi na gwizdek. Gawryłow nie chciał zostawić Bohuna sam na sam z drugim agentem. Bał się, że bojowcy spróbują odbić swego towarzysza, gdy będzie go pilnował tylko jeden agent.

Gawryłow postanowił nie polegać na swym pomocniku i sam również udać się do komisariatu.

Drugi agent oddalił się właśnie w kierunku Krakowskiego Przedmieścia, by zawołać dorożkarza. Gawryłow zaś popychał Bohuna naprzód, nie żałując mu przytem mocnych szturchańców.

Walka na śmierć i życie

W Bohunie, który liczył wszystkiego 19 lat, zawrzała krew. Silnem szarpnięciem próbował wyrwać się z rąk szpicla. Ten chwycił go jeszcze mocniej i zamierzył uderzyć go w twarz. Nie było nic do stracenia. Bohun zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, co go czeka. Całą siłą szarpnął po raz drugi i zamierzył się na Gawryłowa. Wywiązała się zacięta walka. Drugi agent wracał właśnie z dorożką.

gdy Bohun wyrwał się ostatecznie z rąk Gawryłowa i po burcie spuścił się na ulicę Marjensztadt. Gawryłow puścił się w pogoń. Wydobył rewolwer i bez przerwy strzelał do uciekającego Bohuna. Bohun odpowiadał strzałami, uciekając zygzakami.

Na ulicy Marjensztadt powstała panika. Wszystko pouciekało do bram lub mieszkań. Na pustej uliczce walczyli na śmierć i życie szpicel i bojowiec.

Naraz strzelanina ustała. Z wyciągniętym rewolwerem w rękę Bohun ostrożnie rozglądał się po ulicy. Gawryłowa nigdzie nie było. Gdzieś znikł.

Bohun spokojniej odetchnął. Czy go istotnie nikt już nie ścigał? Dla pewności doszedł do rogu ulicy Sowiej i schował się za narożnym domem. Ukradkiem raz jeszcze objął wzrokiem ulicę Marjensztadt. Naokoło panowała głęboka cisza.

Bohun wyrzucił z browninga pusty magazyn i wsunął nowe naboje. Jeszcze raz obejrzał się dookoła i szykował się, by wyjść na Krakowskie Przedmieście, gdy jakby z pod ziemi wyrósł Gawryłow i chwycił go z tyłu za ręce.

Oczy szpicla pałały nienawiścią i wściekłością.

— Tiepjer už nie ujdjosz (teraz już nie uciekniesz) — mówił, sapiąc. — Prosto na stryczek.

Gawryłow zamierzał się wyrwać naładowany browning z rąk Bohuna. Ten jednak kopnięciem rzucił go ku ścianie i wyrwał się z jego rąk. Po chwili stał zwrócony ku Gawryłowowi, celując browningiem prosto w skroń szpicla.

Gawryłow chciał właśnie sięgnąć po rewolwer. Rozległ się jednak strzał, i okrutny szpicel padł trupem na miejscu.

Na ulicy nie było nikogo. Bohun schował rewolwer do kieszeni, poprawił na sobie ubranie i poszedł.

Był zupełnie wyczerpany. Ledwo trzymał się na nogach. Bohun całkiem zapomniał o umówionej zbiórce na Śliskiej i udał się do swego mieszkania na Przemysłowej. Zamknął drzwi na klucz i położył się do łóżka. Po chwili 19-letni zamachowiec spał jak zabity.

Nie spał jednak zbyt długo. Obudziło go wnet silne pukanie do drzwi.

— Policja! — przeszło Bohunowi przez myśl. Rozejrzał się po mieszkaniu. O ucieczce jakimś tylnym wyjściem mowy być nie mogło. Postanowił stoczyć walkę z policją.

Bohun wyjął naładowany rewolwer z pod poduszki i spuścił w nim zatrask. Zbliżył się ku drzwiom i zapytał:

— Kto puka?

Na Zjeździe po zamachu

Kostek i Zagłoba długo błądzili po mieście szukając Bohuna.

Był już wieczór. Chmara szpiclów zalewała ulice, węsząc podejrzanych przechodniów. Silne oddziały wojska patrolowały po mieście, rzucając postrach na mieszkańców.

Zagłoby i Kostka nikt nie zaczął. Bojowcy postanowili wrócić na miejsce zamachu i tam poszukać jakiegoś śladu po Bohunie.

W okolicach Zjazdu roilo od policji, żandarmów, szpiclów i oficerów. Specjalna komisja przybyła na Zamek i wypytywała domowników generał-gubernatora. Informacje, otrzymane na Zamku, były nader szczupłe.

Miejsce eksplozji było obstawione barjerami, a dokoła nich ustawiono kilka kordonów policjantów i szpiclów. Zatrzymano każdego przechodnia, który wydał się podejrzanym.

Agent, który towarzyszył Gawryłowowi zapewniał, że ten przed śmiercią zranił ciężko zamachowca. Dało to powód do masowych rewizji w okolicach Zjazdu.

Kostek i Zagłoba postanowili natychmiast zawrócić, by nie wpaść w ręce szpiclów. Udali się jeszcze do prywatnego mieszkania Bohuna na Przemysłowej. Okno było nieoświetlone. Więc i tutaj go niema?

Dla pewności doszli jednak do drzwi i zapukali. Nikt nie odpowiedział. Słyszeli tylko, że ktoś grzebie w ciemności. Zapukali jeszcze raz. Po chwili odezwał się głos Bohuna:

— „Kto puka?”

„Kostek”! — brzmiała odpowiedź.

„Wasze szczęście”. — rzekł Bohun, otwierając drzwi.

— „Browning był naładowany, a ja gotów do strzelania. Słowo „Kostek” uratowało was”.

Z grupy, która brała udział w zamachu na Nolkę, nikt więc nie brakował.

Zawiadomiono o tem Prystora-Katajama, który czekał w konspiracyjnym mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej 49 na przybycie Okrzei. Katajama kręcił się w pokoju coraz bardziej niespokojny o los

młodziutkiego zamachowca. Było już późno w nocy, a Ukrzei ciągle jeszcze nie było widać. Próbowano dostać się do mieszkania Okrzei, ale bez skutku. Okrzeja mieszkał wraz ze swą matką na Pradze. Wskutek obław na Zjeździe dostęp na Pragę był prawie zamknięty.

Policja znęca się nad matką Okrzei

Dopiero nad ranem Żukowskiemu-Harakiri udało się przekraść się na Pragę. Tam dowiedział się od matki Okrzei, że jej syn jest aresztowany i że policja była już kilkakrotnie w jej mieszkaniu. W ciągu nocy przeprowadzono kilka ścisłych rewizji.

Mieszkanie Okrzei wyglądało, jak po pogromie: podłoga oderwana, tynk odbity, rozwalony piec, rozdarta pościel, słoma wyrzucona z sienników i t. d. Mało brakowało, i by ręk policji dostałby się magazyn broni i amunicji, który mieścił się w oborze tuż koło mieszkania Okrzei.

Matka Okrzei, opowiadała bojowcom, że podczas rewizji rewirowy rejonu, w którym mieszkała, nielitościwie się nad nią znęcał. Nie mógł jej przebaczyć, że wychowała takiego „zbója”. Gdy rewirowy później w dalszym ciągu prześladował sta-

ra Okrzejową, Centralny Komitet P. P. S. wydał na niego wyrok śmierci, który niebawem został wykonany.

Areszt Okrzei podziałął przygnębiająco na wszystkich bojowców. Pojawiły się głosy, obwiniające bojowca „Chłopa”, że on poniekąd przyczynił się do aresztu. Ktoś zarzucił „Chłopowi”, że zbyt wcześnie opuścił swój posterunek w bramie cyrkułu praskiego.

Sąd nad „Chłopem”

„Chłop” zażądał sądu nad sobą. Nazajutrz po zamachu odbyło się zebranie całej grupy Okrzei. Nastroj był nader poważny. Wśród głębokiej ciszy „Chłop” wzruszonym głosem opowiadał, jak doszło do tego, że opuścił cyrkuł, mimo że Okrzeja jeszcze tam był.

Okrzeja przed zamachem kilkakrotnie podkreślił „Chłopowi” że ma wejść na podwórko cyrkułu jedynie wtedy, gdy usłyszy gwizdek. Gwizdka jednak nie było. Ranny Okrzeja o tym umówionym znaku całkiem zapomniał. „Chłop” czekał więc cierpliwie w bramie. W pewnej chwili jednak w czarnym dymie, jaki powstał po eksplozji, ukazała się jakaś syl-

Wetka, uciekająca z cyrkułu. „Chłop” czekał jeszcze kilka minut. Gdy umówionego gwizdka w dalszym ciągu nie było, „Chłop” był pewny, że poprzednio uciekającym z cyrkułu, był właśnie Okrzeja. Dalsze pozostawanie w bramie cyrkułu byłoby przeto nie tylko niebezpiecznem, lecz także bezcelowem. Wraz z pozostałą trójką „Chłop” wsiadł wówczas do dorożki i pojechał w stronę Zjazdu.

Dopiero po drodze „Chłopowi” zaczęły się nasuwać wątpliwości, czy też Okrzeja napewno zdołał uciec. Cała czwórka wyskoczyła z dorożki i pobięła z powrotem do cyrkułu. Na ulicy było już pełno szpiclów, a cyrkuł otoczony był silnym kordonem policji. Nic już nie można było poradzić.

Po wysłuchaniu sprawozdania zebranie uznało, że „Chłop” nie mógł postąpić inaczej, i oczyściło go z wszelkiego zarzutu. „Chłop” ze łzami w oczach wysłuchał rehabilitującego wyroku. Przedstawiono później całą sprawę Katajamie-Prystowski, który orzeczenie zebrania całkowicie zatwierdził.

KONIEC.